

Skrzydła i skrzydełka

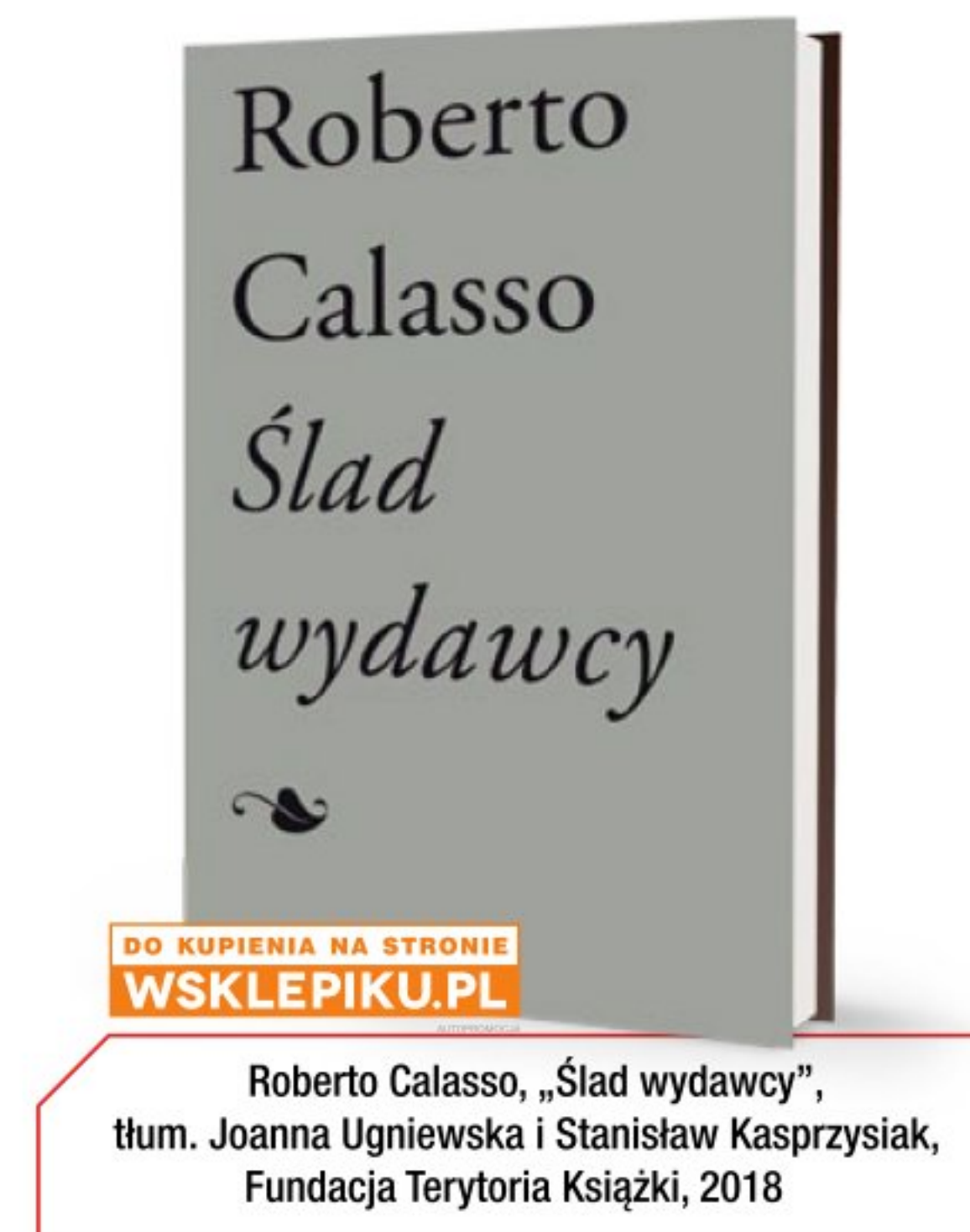
Bompiani, Feltrinelli, Mondadori, Einaudi, no i Adelphi, oczywiście. Czy to malarze, makarony czy marki aut z włoskich stajni? Nie, to domy wydawnicze. Założyciel ostatniego z tej „wielkiej piątki” Roberto Calasso wydał garść swoich refleksji o sztuce edycji: gest wierności i powściągliwości zarazem, jakby obrzęd odprawiany przez Teatr Pantomimy Tomaszewskiego.

Książki o książkach są szczególnym, cieszącym tylko niektóre podniebienia przysmakiem, ale nawet dla wyznawców Anne Fadiman i Borgesa recenzja-książki-o-książkach może być czymś nazbyt autotematycznym, zbyt podobnym do węża Uroborosa kończącego posilek. Jeśli odnotowuję esej Calassa, to nie tylko dlatego, że na stu z okładem stronach pisze on z zachwytem o wielkich powieściach Josepha Rotha, wielkich miniaturach Roberta Walsera. Nie

tylko wtajemnicza nas w takie arkana sztuki wydawniczej, jak dobór właściwej reprodukcji obrazu na okładkę czy kompozycja utworu, będącego odrębnym, niszowym gatunkiem literackim – „skrzydełka” (sam Calasso napisał ich ponad tysiąc).

W kilku esejach i epitafiach, które złożyły się na „Ślad wydawcy”, Calasso opowiada nam o najwyższym szczeblu wtajemniczenia wydawniczego: o komponowaniu serii w taki sposób, by kolejne tytuły („książki jedyne”, jak pisze w pewnym miejscu – nieoczywiste, zdumiewające, czasem jedyne w dorobku pozycje milczącego poza tym lub anonimowego autora) uzupełniały się nawzajem i przy najdalej posuniętej różnorodności przekonań i stylów prowadziły w wybranym kierunku.

Symbol „księgi” należał kiedyś do najbardziej nośnych; dziś, za przyczyną epidemicznego rozrostu literatury fantasy



czy produktów księgarskich, ludzających obietnicą głębi, jak w przypadku Coelho lub Zafona, jego moc wydaje się słabnąć. Ale wiara Calassa przywołującego pamięć mistrza wszystkich wydawców, weneckiego typografa Aldusa Manutiusa, zagrzeje niejednego czytelnika, który gotów był już skłonić się ku sypkim herezjom tabletów i e-booków. 